

1

Wiedziałem, że jestem śledzony, zanim jeszcze zobaczyłem czy usłyszałem swego prześladowcę. Wyczułem to dzięki wyostrzonemu przez doświadczenie instynktowi – jakiś ruch w powietrzu, towarzysząca mi dyskretnie czyjaś obecność. Ktoś mnie obserwował, i to od kilku dni: z wylotu uliczki, zza filaru lub muru, w tłumie ludzi, powozów i zwierząt podążających wąskimi ulicami Londynu, wśród barek pływających po rzece. Czasami czułem czyjś wzrok nawet w zaciszu własnego pokoju w Salisbury Court, choć zapewne było to niemożliwe i jedynie ponosiła mnie wyobraźnia.

Działo się to dwudziestego trzeciego lipca 1584 roku. Spieszyłem się, żeby zanieść swoje nowe dzieło drukarzowi, zanim ten wyjedzie z Londynu na resztę lata. Do Tilbury niedawno przybił statek handlowy z Portugalii i przycumował u ujścia Tamizy. W Lizbonie szalała zaraza, więc załogę siłą poddano kwarantannie; jednak, mimo podjętych środków bezpieczeństwa, pogłoski, że choroba zbiera już żniwo także wśród Anglików, zaczęły rozprzestrzeniać się po mieście szybciej, niż mogłaby rozprzestrzenić się ona sama. Jak słyszałem, latem w Londynie dość często wybuchały zarazy, zatem ci, których było stać, aby przenieść się w zdrowsze rejony, pakowali manatki najprędzej, jak mogli. W ambasadzie francuskiej, w której rezydowałem jako gość, przekazywane sobie szeptem plotki o czarnej śmierci wywołały takie przerażenie, że wszyscy

zaczęli mieć wyimaginowane symptomy choroby i w efekcie ambasador wysłał swego osobistego sekretarza, aby wywiedziać się o wiejskie domy w sąsiedztwie pałacu Nonsuch, letniej rezydencji królowej angielskiej, Elżbiety.

Strach przed zarazą spotęgował napięcie panujące w ostatnich dniach w ambasadzie. Nasz spokój w minionym tygodniu zburzyły wieści z Niderlandów, że zamordowano Wilhelma Milczącego, księcia Oranii; został on zastrzelony na schodach własnego domu w Delfcie przez człowieka, którego znał i któremu ufał. Wyobrażałem sobie, że w ambasadach najpotężniejszych państw katolickich i protestanckich w całej Europie mężczyźni i kobiety, tak jak my, po przybyciu posłańca stoją oniemiały na wieść o czynie, którego skutki musiały wstrząsnąć posadami świata. Na ulicach Londynu wciąż jeszcze wyczuwało się szok i lęk. Nie żeby Anglicy żałowali samego Wilhelma; po prostu było wiadomo, że to sprawka króla katolickiej Hiszpanii, Filipa II, który zaoferował mordercy nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy koron. Nikt więc nie miał wątpliwości, że jeśli jakiegoś protestanckiego władcę można było obalić tak łatwo jak kręgiel, następna na liście Filipa znajdzie się królowa angielska Elżbieta. Złe przeczucia nasiliły się w Salisbury Court tym bardziej, że zabójca Wilhelma był Francuzem.

John Charlewood, mój drukarz, rezydował Pod Półorłem i Kluczem, przy barbakanie, po północnej stronie muru miejskiego. Miał też drukarnię bliżej, w Charterhouse, dawnej kartuzji, którą zamieniono w okazałą prywatną rezydencję, lecz nie chciałem tam chodzić; kartuzja bowiem należała obecnie do Thomasa Howarda, przyrodniego brata młodego hrabiego Arundel, a ja jesienią naraziłem się Howardom – najpotężniejszemu rodowi katolickiemu wśród angielskiej arystokracji – i wolałem nie natknąć się na jednego z nich. Moja niechęć bawiła Charlewooda, jednak nigdy o nic mnie nie pytał; albo sam był na tyle ekscentryczny, by tolerować kaprysy innych, albo na tyle bystry, by wiedzieć, że w czasach trudnych do przeniknięcia układów często lepiej nie interesować się cudzymi sprawami.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy wyruszyłem z Salisbury Court z zarzuconą na plecy skórzaną sakwą zawierającą karty mego rękopisu. Światło, niczym brylanty, lśniło w szybach budynków przy Fleet Street, przeważnie drukarni i tawern, które obsługiwały pracowników pobliskich sądów. Kiedy szedłem po bruku, spod mych stóp wzbijały się tumany pyłu; od czasu do czasu musiałem zejść z drogi, by ominąć świeże końskie łajno, które gdzie indziej zdążyło się już zeschnąć w upale i tworzyło twardą skorupę z widoczną tu i tam trawą. W nieruchomym powietrzu wisiał dochodzący z Tamizy smród ścieków i gnijących odpadków, przytknąłem zatem rękaw Inianej koszuli do nosa i starałem się oddychać ustami. Słońce świeciło ostro na dziwnie opustoszałą ulicę. Sądy zakończyły już pracę, więc na Fleet Street nie było zwykłej krzątanimy, jednakże na głównym trakcie łączącym Westminster z City of London można by się spodziewać większego ruchu. Rozejrzałem się wokół. Może ludzie siedzieli w domach ze strachu przed zarazą, a może wszyscy wyjechali już na wieś i te kilka osób z ambasady żyło, nie wiedząc o tym, w mieście duchów. Ta myśl wzbudziła we mnie zniecierpliwienie; w życiu jest tyle zagrożeń naturalnych i niebezpieczeństw, które sami na siebie ściągamy, że gdybyśmy mieli kryć się przed każdą perspektywą kłopotów, nigdy byśmy nie opuszczali komnat. Sam wiedziałem o tym najlepiej, gdyż ostatnie osiem lat spędziłem, ciągle uciekając, i od tamtej nocy, gdy zbiegłem z klasztoru w Neapolu, aby ujść przed inkwizycją, tułałem się po całej Europie, czując na karku zimny oddech śmierci. Jednakże moje życie przez te osiem lat, kiedy kilkakrotnie omal go nie straciłem, było o wiele pełniejsze i barwniejsze niż przez te trzynaście lat, gdy mieszkałem bezpiecznie w świętych murach San Domenico Maggiore; stało się też dla mnie nieskończenie cenniejsze.

Właśnie przeszedłem przez Fleet Street i skręciłem w Shoe Lane, kiedy to dostrzegłem: drobne zakłócenie na skraju pola widzenia, przelotne jak mgnienie oka, które zaraz zniknęło. Obróciłem się na pięcie, kładąc dłoń na kościanej rękojeści sztyletu, który nosiłem

za pasem od czasu, gdy stałem się uciekinierem, ale w alejce prawie nikogo nie było. W moją stronę szła tylko stara kobieta w cienkiej koszuli, uginając się pod ciężarem kosza, który dźwigała na plecach. Zerknęła na mnie i widząc, że sięgam po nóż, upuściła kosz i wydała okrzyk, który poniósł się echem aż za rzekę – do Southwark.

– Nie, nie... nie bój się, pani. – Wyciągnąłem ręce, by pokazać, że nic w nich nie mam, jednak mój akcent tylko pogorszył sprawę; słysząc go, biedaczka jakby w ziemię wrosła i zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze, wyzywając mnie od hiszpańskich papistów i morderców. Próbowałem ją uciszyć i uspokoić, lecz ona wrzeszczała i wrzeszczała, aż w końcu drzwi pobliskiego domu się otworzyły i stanęli w nich dwaj mężczyźni, którzy zamrugali w oślepiającym świetle słonecznym.

– Co tu się dzieje? – Wyższy z nich łypnął na mnie spod grubych brwi. – Wszystko w porządku, dobra kobieto?

– Sięgnął po nóż, ten brudny hiszpański pies! – prychnęła niewiasta i dla większego efektu przyłożyła rękę do piersi. – Chciał mi wyciąć serce i mnie obrabować, przysięgamy!

– Przepraszam, pani, że cię przestraszyłem. – Na dowód swojej niewinności pokazałem mężczyznom, że nic nie mam w rękach. – Wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi, to wszystko. – Omiotłem wzrokiem ulicę, ale nie było na niej śladu ruchu poza drgającym od upału powietrzem nad rozgrzanym brukiem.

– Czyżby? – Mężczyzna spojrział na mnie z ukosa i zrobił krok w moją stronę. – Całkiem zmyślna historyjka. Co tu robisz, ty hiszpański bękarcie?

– Nie podchodź do niego, Gil, to może być jeden z tych, co ściągali tu zarazę – ostrzegł go towarzysz, który krył się za jego potężnym ramieniem.

– Przypląnąłeś nas pozarazać, brudasie? – ostrym głosem zapytał mężczyzna imieniem Gil, ale na wszelki wypadek się cofnął.

Westchnąłem. Przekonałem się już, że większość Anglików zna tylko dwie obce nacje, hiszpańską i francuską, którymi na zmianę

matki straszyły ich w dzieciństwie. W tym roku przyszła kolej na Hiszpanów. A ponieważ miałem ciemne włosy i oczy, a także obcy akcent, kilka razy w tygodniu zarzucano mi, że w imię papieża zamierzam wymordować uczciwych Anglików w ich łóżkach, choć szedłem sobie spokojnie ulicą. Pod pewnymi względami Londyn był najbardziej tolerancyjnym miastem, jakie los pozwolił mi odwiedzić, jednak jeśli chodzi o cudzoziemców, wyspiarze należeli do najbardziej podejrzliwych ludzi na świecie.

– Macie na myśli Portugalczyków. Nie jestem ani Hiszpanem, ani Portugalczykiem, tylko Włochem – odparłem z taką godnością, na jaką umiałem się zdobyć. – Giordano Bruno z Noli, do usług.

– To dlaczego tam nie wrócisz? – warknął mężczyzna o szczerzej twarzy i spojrzał na towarzysza, aby uzyskać jego aprobatę.

– Właśnie! Po coś przyjechał do Londynu? Żeby nas pozaryzać, a potem zmusić do poddaństwa wobec papieża?

– Chyba nie mógłbym dokonać jednego i drugiego, nawet gdybym chciał – zauważyłem, lecz szybko zorientowałem się, że nie rozbiorę go humorem. – Posłuchajcie, zacni panowie, nie zamierzałem nikogo obrazić. Możemy rozejść się każdy w swoją stronę?

Wymienili spojrzenia.

– A możemy – odrzekł ten potężniejszy i na chwilę odechnąłem z ulgą. – Gdy tylko damy ci nauczkę.

Uderzył wielką pięścią w rozwartą dłoń; jego przyjaciel zarechotał szpetnie i zaczął naciągać sobie palce. Szybkim ruchem ponownie dobyłem więc sztylet i wyciągnąłem go w ich stronę, zanim któryś z nich zdążył zbliżyć się do mnie o krok. Wędrując przez trzy lata po włoskich drogach, musiałem nauczyć się bronić.

– Zacni panowie – powiedziałem, nie spuszczając wzroku z nich obu i jednocześnie przenosząc ciężar ciała na palce, aby rzucić się do ucieczki, jeśli będzie trzeba – jestem rezydentem ambasady francuskiej, a tym samym gościem królowej Elżbiety w waszym kraju i znajduję się pod jej protekcją. Jeśli mnie tkniecie, odpowiecie za to przed jej ministrami. A oni już będą wiedzieli,

gdzie was znaleźć. — Skinieniem głowy wskazałem dom, z którego wyszli.

Spojrzeni na siebie niespokojnie. Ten niższy jakby czekał na decyzję swego towarzysza. Wreszcie ten wyższy opuścił ręce i cofnął się o krok.

— Już cię tu nie ma, ty ścierwo, podnóżku papieża. I w przyszłości trzymaj się z dala od tej ulicy, jeśli chcesz zachować swą ładniutką buźkę.

Z ulgą schowałem nóż. Kiwnąłem głową, ściągnąłem ramiona i ruszyłem dalej, kłaniając się starszej kobiecie, która pochyliła się, by pozbierać rozsypane towary. Już miałem zaoferować jej pomoc, lecz widząc wrogie spojrzenie, które mi rzuciła, wołałem się nie zatrzymywać. Ledwie uszedłem z dziesięć kroków, gdy coś ze świstem przeleciało obok mego lewego ucha i upadło na ziemię. Uskoczyłem na bok; przede mną w pyłe wylądował i potoczył się kamień wielkości ludzkiej pięści. Odwróciwszy się, zobaczyłem, że obaj mężczyźni stoją obok siebie na rozstawionych nogach, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, i rechoczą. Z rzekomą braurą znowu dobyłem noża i udałem, że zamierzam wrócić; tamci zawahali się, po czym ten niższy pociągnął kompana za rękaw i obaj pospiesznie zniknęli w domu.

Kolejny raz schowałem sztylet i wytarłem pot znad górnej wargi. Ręce mi drżały, serce zaś tłukło się pod żebrami; ci dwaj obwiesie chcieli mnie nastraszyć i nawet im się to udało. Minionej jesieni o mało nie zginąłem w podobnej sytuacji, gdy pewnej nocy przeleciał mi koło głowy kamień. Jeśli od tamtej pory stałem się nerwowo, to nie bez powodu. Rozejrzałem się dookoła, wciąż ze strachem, obejmując ręką sakwę. Stara kobieta już prawie dotarła do końca ulicy; poza tym nie było tu innych oznak życia. Pomyślałem jednak, że wiem, kto podąża za mną ulicami Londynu; od minionego roku wręcz spodziewałem się tego człowieka. Jeśli się nie myliłem, mogła go zadowolić tylko moja śmierć.



— Giordano Bruno! Wejdźże, wejdźże! Co się stało? Wyglądasz, jakbyś ujrzał samego diabła. — Charlewood szeroko otworzył drzwi swego warsztatu, obrzucił mnie bystrym spojrzeniem i gestem zaprosił do środka. — Zachodź... poproszę gospodynię, by przyniosła nam coś do picia. Wpadłeś w kłopoty?

Zbyłem jego pytanie machnięciem ręki; gdy wołał w głąb korytarza, wszedłem do saloniku, wyjąłem rękopis z sakwy i zacząłem odwijać go z lnianego płótna.

— Cóż więc? — Wkroczył za mną do izby i potarł dłonie w geście oczekiwania. — Czy dzieło jest wreszcie gotowe? Nie chcemy, żeby Jej Królewska Mość czekała, nieprawdaż? — Uśmiechnął się szeroko, gładząc spiczastą brodę.

Lubiłem go nie za to, że był gotów drukować i rozprowadzać książki głoszące radykalne i potencjalnie niebezpieczne koncepcje, dużo podróżował, mówił kilkoma językami i miał szersze horyzonty niż większość znanych mi Anglików; nie, najbardziej podobało mi się w nim to, że był niepoprawnym łotrem. Około czterdziestopięcioletni, drobnej budowy, z rudawymi włosami i łobuzerskim wzrokiem, Charlewood emanował taką energią, że ledwie mógł ustać spokojnie przez pięć minut; stale brał coś do ręki, bawił się tym, przestępował z nogi na nogę, obciągał rękawy koszuli, skubał brodę albo szarpał za kolczyk w prawym uchu. Nie dbał o to, co o nim mówią, i jeśli chodzi o interesy, był pozbawiony wszelkich skrupułów; nieraz napytał sobie biedy — drukował nielegalne księgi bez zezwolenia i zawsze opatrywał je wymyślanymi przez siebie pochlebnymi opiniami, jeżeli uważał, że to wspomůže ich sprzedaż. Jednakże wobec swych autorów był lojalny i kategorycznie sprzeciwiał się cenzorowaniu dzieł — w tym punkcie zgadzaliśmy się ze sobą całkowicie. Ostatnio wpadł na pomysł, by wydawać dzieła włoskich autorów dla małego, acz elitarnego, bo arystokratycznego kręgu czytelników w Anglii. Poznał mnie z nim mój przyjaciel, sir Philip Sidney, nieformalny przywódca liberalnego grona intelektualistów na dworze królowej Elżbiety, którzy zbierali się, by czytać nawzajem swe wiersze i dyskutować o ideach uwa-

żanych przez wielu za nieortodoksyjne czy wręcz groźne. To właśnie Sidney powiedział Charlewoodowi, że królowa wyraziła chęć przeczytania mego nowego dzieła; oczywiście drukarz dostrzegł w tym szansę dla siebie i posunął się nawet do tego, że stworzył fikcyjną wenecką metryczkę drukarską, aby przydać księdze autentyczności. Królowa Elżbieta dobrze znała włoski, tak jak i inne języki europejskie, podobno miała zadziwiający intelekt i przejawiała niezwykle apetyt, jeśli chodzi o nowe, śmiałe koncepcje naukowe i filozoficzne, jednakże nawet ona, ze swoim otwartym umysłem, mogła uznać moje najnowsze dzieło za nazbyt śmiałe. Spojrzałem na starannie zapisane karty, które trzymałem w dłoniach, i zacząłem się zastanawiać, czy Charlewood naprawdę zdaje sobie sprawę, czego się podjął.

Odłożywszy lniane płótno, w które był zawinięty rękopis, podałem mu plik przewiązany jedwabną wstążką. Wziął go ode mnie z szacunkiem i pogładził pierwszą kartę.

– *La Cena de le Ceneri*. Wieczera w Środę Popielcową. – Uniósł wzrok i zmarszczył brwi. – Moglibyśmy popracować nad tytułem, Bruno. Żeby brzmiał bardziej... – Machnął ręką, zataczając kółko.

– To tytuł ostateczny – odparłem zdecydowanie.

Uśmiechnął się znowu, lecz nie ustąpił.

– I to ma być takie kontrowersyjne? Wzbudzi poruszenie na uniwersytetach?

– Widzę, że liczysz, iż odpowiem „tak” – odrzekłem z uśmiechem.

– Oczywiście. – Rozwiązał wstążkę, którą był przewiązany rękopis. – Ludzie lubią myśleć, że czytają coś, co nie spodobałoby się władzy. Z drugiej jednak strony królewskie wsparcie...

– Królowa nie powiedziała, że wesprze mą książkę – zauważyłem pospiesznie. – Wyraziła jedynie chęć jej przeczytania. Nie zna jeszcze jej treści.

– Ale wszak zna twą reputację, Bruno. Te pogłoski, które razem z tobą dotarły z Paryża... – Oczy mu zalśniły.

– Jakie pogłoski, Johnie? – zapytałem niewinnie, chociaż wiedziałem doskonale, o czym mówi.

– Że parasz się magią. Że nie jesteś ani katolikiem, ani protestantem, lecz stworzyłeś własną religię, opartą na starożytnej mądrości Egipcjan.

– Cóż, zostałem ekskomunikowany przez Kościół katolicki i uwięziony przez kalwinistów, a zatem większość z tego musi być prawdą. Jednakże tylko człowiek niezwykle arogancki mógłby marzyć o stworzeniu własnej religii, nieprawdaż? – Uniosłem brew.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Dlatego sądzę, że cię na to stać – odparł. Spojrzał na mnie przeciągle spod gęstych brwi. Poklepał rękopis wierzchem dłoni. – Wezmę go ze sobą do Suffolku i przeczytam w następnych tygodniach. W Londynie i tak nie będzie można robić żadnych interesów, dopóki nie ustąpi ten przeklęty upał i nie minie groźba zarazy. Ale jesienią wydamy twą książkę i wywoła ona w Europie poruszenie, jakiego nie znano od czasu, gdy ten Polak, Kopernik, ośmielił się twierdzić, że Ziemia nie leży w środku dzieła bożego. Miejmy nadzieję, że nie nastąpi wówczas żadne morderstwo, które by przesłoniło to wydarzenie. Zgoda?

Podał mi rękę, a ja uściśnałem ją angielskim zwyczajem. Wtedy otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich gospodyni, która z opuszczoną głową wniosła na tacy gliniany dzban i dwa drewniane kubki. Umieściła je na dębowym kredensie stojącym pod poczerniałą ścianą. Charlewood położył rękopis na stołku i podszedł do kredensu.

– Proszę, Bruno. – Nalał piwa do jednego z kubków i podał mi go. – Ta pogoda, pył osiada w gardle, mam rację? Jest trochę za wcześnie na mocniejsze trunki, jednakże wypijmy za owocną współpracę. Ten rękopis to niejedyny egzemplarz twego dzieła, jak mniemam?

– Nie. – Z ochotą pociągnąłem łyk piwa. Chociaż ciepłe, przynajmniej działało odświeżająco. – Sporządziłem kopię, którą trzymam zamkniętą w domu.

– To dobrze. Pilnuj jej. Ja będę strzegł swojego egzemplarza jak oka w głowie, lecz teraz, gdy tylu ludzi wyjeżdża z Londynu,

na drogach grasują rabusie i bandyci. Nie zamierzasz zostać w mieście, prawda?

– Ambasador chciałby przenieść się w pobliże dworu, jeśli tylko znajdzie odpowiednią rezydencję. Mnie tam niespieszno do wyjazdu. – Wzruszyłem ramionami. – Nie widzę niczego, co by świadczyło o zarazie.

Charlewood pokręcił głową.

– Gdy coś zobaczysz, będzie już za późno. Posłuchaj mej rady: wynieś się z miasta. Nie możemy pozwolić, byś umarł w wieku... Ile masz lat?

– Trzydzieści sześć.

– No właśnie. Chcesz żyć, by osobiście podarować tę księgę królowej, mam rację? I następną, i następną. Nieżyjący autor nie przyniesie mi pożytku.

Zaśmiałem się, lecz przypomniałem sobie kamień, który upadł mi pod nogi w pyłe, i ducha depczącego mi po piętach od kilku dni. Pomyślałem, że jeśli mój prześladowca zna się na rzeczy, będę miał szczęście, jeśli dożyję jesieni, czy wybuchnie zaraza czy nie.



Wyszedłem od Charlewooda z lżejszym sercem, pokrzepiony jego entuzjazmem. Na uliczkach wokół barbakanu wciąż było niezwykle pusto, a domy z czerwonej cegły, stojące po obu stronach dróg, blakły w spływającym z góry blasku słonecznym. Bezchmurne niebo za szeregiem kominów było barwy kobaltu, niemal tak błękitne jak to nad Nola, moją rodzinną wioską u stóp Monte Cicada, tak ją zapamiętałem. Nie wiedziałem, że w Anglii można zobaczyć takie niebo. Od potu koszula lepiła mi się do pleców i gdy szedłem, poluzowałem jej sznurowanie pod szyją, zadowolony, że zawsze unikałem modnych w Anglii szerokich, sztywnych kryz; młodzi eleganci na dworze musieli przeżywać istne męki w tym upale.

Przeszedłem przez Aldersgate Street i już miałem skrócić w Long Lane, gdy znowu doznałem tego wrażenia: umykający cień, ledwie

słyszalny szelest. Obróciłem się szybko z dłonią na rękojeści sztyletu i po raz pierwszy dostrzegłem go przelotnie, w odległości około pięćdziesięciu jardów, nim zniknął między dwoma budynkami. Zdążyłem jedynie zauważyć wysoką, szczupłą postać, potem krew we mnie zawrzała i zanim zastanowiłem się, co czynię, rzuciłem się w pogoń, a moje ciężkie kroki zadudniły w pyle; pomyślałem, że jeśli będę musiał stanąć do walki, to niech tak będzie, gdyż nie mogę dłużej żyć, stale oglądając się przez ramię, przez cały czas czując się jak bezbronny zwierz, na którego ktoś poluje.

Wpadając w uliczkę, w której zniknął mężczyzna, zobaczyłem, że wybiega on drugim jej końcem i kieruje się na północ Aldersgate Street. Zmusiłem się do większego wysiłku; może nie dorównuję wzrostem niektórym z tych Anglików, lecz jestem szczupły, a nawet żylasty, i potrafię szybko się poruszać. Wybiegając spomiędzy domów, ujrzałem go wyraźnie i uświadomiłem sobie z zamierającym sercem, że zmierza w stronę Charterhouse. Byłem jednak zbyt wzburzony i za bardzo chciałem go dopaść podczas tej tchórzliwej ucieczki, by przejmować się Howardami.

Kiedy się do niego zbliżyłem, skręcił za róg, trzymając się blisko muru granicznego, który zamykał labirynt uliczek i starych budynków. Widziałem jedynie, że jest odziany w kamizelkę oraz pludry i ma naciągnięty na oczy beret, lecz nawet z tej odległości nie przypominał człowieka, którego spodziewałem się ujrzeć, tego, którego zemsty się lękałem – chyba że od jesieni stracił on na wadze.

Nie miałem jednakże czasu na takie rozważania. Gdy wypadłem za róg, ścigany przeze mnie mężczyzna wspinał się na niski mur oddzielający uliczkę od Pardon Churchyard, starego cmentarza dla ofiar zarazy, należącego do Charterhouse. Popędziłem za uciekającym, wdrapałem się na mur, zeskoczyłem po drugiej jego stronie i zobaczyłem człeka w całej okazałości na terenie cmentarza, gdy nie miał już za czym się skryć. Poruszał się zręcznie, omijając kępy trawy i pozostałości starych nagrobków; najwyraźniej zmierzał w kierunku muru po drugiej stronie i zaplecza domów przy

Wilderness Row. Pobiegłem do przodu, dogoniłem go i chwyciłem za kamizelkę, zanim wspiął się na mur. Próbował się wyrwać i materiał wyslizgnął mi się z palców; trafiłem stopą na króliczą norę i o mało się nie przewróciłem, lecz gdy tamten skoczył na mur, rzuciłem się za nim, złapałem go za nogę i pociągnąłem, tak że upadł na ziemię. Bronił się zaciekle, próbując dosięgnąć mnie pięściami, ja jednak byłem silniejszy i ująwszy go za nadgarstki, bez większego wysiłku przygwoździłem go twarzą do ziemi i usiadłem na nim okrakiem, aż przestał się miotać i zastygł w bezruchu.

Podczas walki stracił beret, więc schował twarz w trawę; złapałem go brutalnie za włosy i szarpnąłem, aby unieść jego głowę i zobaczyć, kto zacz. Nie wiem, który z nas krzyknął głośniej.

– *Gesù Cristo!* Sophia? – Spojrzałem z niedowierzaniem w twarz dziewczyny, którą poznałem ponad rok wcześniej w Oksfordzie i w której nawet przez krótki czas byłem zakochany, a przynajmniej tak mi się zdawało. Schudła tak bardzo, że rysy jej twarzy wydawały się ostrzejsze, a duże płowe oczy, niegdyś uwodzicielskie, były podkrążone. Wymamrotała coś, czego nie zrozumiałem, więc się nad nią nachyliłem.

– Co takiego?

– Puść mnie – syknęła przez zęby.

Przestraszony, zdałem sobie sprawę, że wciąż ciągnę ją za włosy. Puściłem je i głowa dziewczyny opadła w trawę, jakby była za ciężka, aby dało się ją utrzymać wyżej.

– Sophia Underhill – powtórzyłem szeptem. Ledwie śmiałem wymówić głośno jej nazwisko z obawy, by nie zniknęła. – Co, do diabła...?

Wykręciła głowę, by na mnie spojrzeć, zamrugała ze smutkiem i odwróciła wzrok.

– Nie. Sophia Underhill nie żyje.

2

Szliśmy ramię przy ramieniu Long Lane w stronę Smithfield Market. Dziewczyna, ponownie naciągnawszy beret na oczy, nic nie mówiła, a ja nie pytałem. Zmieniła się tak bardzo od czasu, gdy widziałem ją po raz ostatni – machała mi wtedy na pożegnanie z okna na piętrze w domu ojca – że mogłem się jedynie domyślać, jakież to okoliczności sprowadziły ją do Londynu w takim stanie. Wiedziałem jednak, że jeśli zasypię ją pytaniami, najpewniej w ogóle się przede mną nie otworzy. Spoglądałem więc tylko na nią z ukosa, gdy tak wędrowaliśmy w poszukiwaniu jakiejś karczmy. Sophia nie straciła na urodzie, przeciwnie – zyskała, gdyż szczupłość przydała jej rysom delikatności. Musiałem sobie przypomnieć, że w Oksfordzie nie odwzajemniała mych uczuć; oddała serce komuś innemu. A jednak przyjechała do Londynu, by mnie odnaleźć, a przynajmniej wszystko na to wskazywało. Postanowiłem zachować cierpliwość i poczekać, aż opowie mi swą historię, jeśli miała taki zamiar.

W miarę jak zbliżaliśmy się do rynku, coraz głośniejsze było słychać beczenie i porykiwania trzody, w powietrzu zaś nasiliła się ostra woń zwierzęcych odchodów, fermentujących w upale. Strach przed zarazą nie wpłynął na handel; odbywał się on jak dawniej. Obeszliśmy więc zagrody, w których tłoczyły się owce i krowy, napierając na ogrodzenia i parszkając zawzięcie, podczas gdy wieśniacy

i rzeźnicy targowali się o ceny. Kiedy mijaliśmy zwierzęta, Sophia przytknęła do nosa i ust rękaw koszuli, ja zaś patrzyłem z uwagą, gdzie stawiam stopy. U wlotu St Sepulchre's Lane, którą handlarze z targowiska nazywają Pie Corner, na budynkach zaczęły się pojawiać szyldy karczm, a pod nimi, w cieniu, stało ospale kilka dziewcząt trzymających zawieszone na szyi tace z rozmiękłymi plackami. Wskazałem karcznię na rogu – Pod Skrzyżowanymi Kluczami. Sophia zawahała się na progu i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nazywam się Kit – szepnęła. – Jeśli ktoś zapyta, przyjechałam do Londynu w poszukiwaniu pracy.

Przystanąłem z ręką na drzwiach i popatrzyłem na nią badawczo. To były pierwsze słowa, jakie wyrzekła od chwili swego poruszającego wyznania na cmentarzu. Odpowiedziała spojrzeniem; w jej oczach dostrzegłem strach osoby ściganej, zaszcutej. Przekląłem się za głupotę. Najwyraźniej uciekała przed czymś albo przed kimś i dlatego przebrała się za chłopca. Znałem aż za dobrze ten wyraz oczu; sam przez trzy lata tułałem się po Włoszech pod przybranym nazwiskiem. Wiedziałem, co znaczy być zbiegiem: zawsze w drodze, nie ufając nikomu, nie mając pewności, czy następne miasteczko, w którym się zatrzymasz, by się pożywić albo znaleźć dach nad głową, nie będzie ostatnim przystankiem, miejscem, gdzie w końcu cię dopadną. Skinąłem głową i otworzyłem przed nią drzwi.

– Wejźmy do środka, Kit. Wyglądasz mi na głodnego.

Karczma była popularna i obsługiwała głównie handlarzy z targowiska. Cuchnęło tu zwierzętami równie silnie jak na zewnątrz, znalazłem jednak ustronny kąt z ławą przy oknie i zamówiłem chleb jęczmienny oraz dzbanek ale. Oparłem się o ścianę i patrzyłem, jak Sophia kuli się, naciągając beret jeszcze bardziej na oczy i rozglądając się wokół nerwowo. Kiedy przyniesiono nam chleb, rzuciła się na niego, jakby od dawna nic nie jadła. Ja tymczasem sączyłem powoli piwo i czekałem, aż dziewczyna się odezwie.

– Wybacz mi – rzekła z pełnymi ustami i wierzchem dłoni otarła okruchy. – Jak widzisz, zupełnie zapomniałam, co to maniery. Co by na to powiedział mój ojciec?

W jej głosie wyraźnie brzmiała gorycz. Ojciec Sophii, dziekan Kolegium Lincoln, wydziedziczył ją, gdy się dowiedział, że jest brzemienna, a potem odesłał do ciotki w Kent; to były ostatnie wieści, jakie o niej miałem. Kiedy wyjeżdżałem z Oksfordu, podała mi adres swej ciotki i prosiła, bym pisał. Nigdy jednak nie otrzymałem odpowiedzi.

– Pisałem do ciebie – rzekłem w końcu.

Uniosła wzrok i spojrzała na mnie.

– Ciekawa byłam, czy piszesz. Nie dostałam żadnego listu. Pewnie spaliła je wszystkie. – Mówiła spokojnym głosem, jakby to już nie miało dla niej znaczenia.

– Twoja ciotka?

Skinęła głową.

– Miałaś wiadomości od rodziców?

Patrzyła na mnie przez moment, po czym jakby prychnęła.

– Chyba żarty sobie robisz?

Chciałem zapytać ją o dziecko i jednocześnie nie chciałem. Spodziewała się go w listopadzie, więc miałoby teraz osiem miesięcy. Jeśli przeżyło.

– Dlaczego powiedziałaś, że nie żyjesz? – zapytałem, gdy stało się jasne, że nie zamierza się nad sobą rozwodzić.

Wskazała swój strój.

– Popatrz na mnie. Oto kim jestem. Dziewczyna, którą znałeś jako Sophię Underhill, już nie istnieje. Zresztą i tak była głupia – dodała jadownicę. – Głupia i naiwna, gdyż wierzyła, że do szczęścia potrzebuje tylko ksiąg i miłości. Cieszę się, że już nie żyje. Kit nie ma takich złudzeń.

Byłem poruszony bólem i gniewem, które słysząc było w jej słowach, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że nie powinienem się dziwić. Sophia miała dopiero dwadzieścia lat, lecz los ciężko

ją już doświadczył: jej ukochany brat młodo stracił życie, ojciec dziecka także nie żył, rodzina się jej wyrzekła. Przypomniałem sobie Sophię biegnącą do mnie przez ogród w Oksfordzie, z powiewającymi długimi kasztanowatymi włosami i błyszczącymi oczami, roześmianą, trzymającą w dłoni rąbek sutej niebieskiej sukni. Była wykształcona, i to bardziej, niż przystało na młodą niewiastę o jej pozycji; ojciec chciał dobrze wydać ją za mąż. Jednakże niezależna natura i pragnienie decydowania o własnym życiu doprowadziły ją ostatecznie do tego stanu.

– Nie musiałaś skradać się za mną w podcieniach – zauważyłem delikatnie, gdy odgryzała kolejny kęs chleba. – Mogłaś po prostu zapukać do moich drzwi.

– Do drzwi ambasady francuskiej? Myślisz, że by mnie wpuszczono? I może jeszcze zaproszono na wieczerzę? – Przełknęła chleb, który miała w ustach, i wbiła wzrok w stół. – Poza tym nie wiedziałam, czy zechcesz się ze mną zobaczyć. Po tym wszystkim, co zaszło. – Nie patrzyła na mnie i jej słowa były ledwie słyszalne. Przestała szydzić. – Jak powiedziałam, nie dostałam od ciebie żadnego listu. Wolałam rozeznąć się w sytuacji, nim się ujawnię. Bałam się... bałam się, że nie będziesz chciał mnie widzieć.

– Sophio... – Musiałem nad sobą zapanować wielkim wysiłkiem woli, by nie wyciągnąć ręki nad stołem i nie ująć jej dłoni. Ostre, ostrzegawcze spojrzenie, które mi rzuciła, utwierdziło mnie w przypuszczeniu, że nie byłby to mile widziany gest. Trudno mi było zapamiętać, że udaje chłopca. – Przepraszam... Kit. Ależ oczywiście, że bym cię nie odprawił. Jeśli tylko potrzebujesz pomocy... a ja mogę ci jej udzielić...

– Gdybyś znał prawdę, mógłbyś postąpić inaczej – mruknęła. Pociągnęła za wystającą z blatu drzazgę.

Pochyliłem się ku niej.

– A jaka jest prawda?

– Jestem poszukiwana za morderstwo.

Między nami nastąpiła długa cisza. Słysząc było jedynie brzęk

naczyń i gwar rozmów w karczmie, a także zgiełk i okrzyki dochodzące zza okien. W snopie padającego na koniec stołu światła słonecznego wznosiły się i opadały drobiny pyłu. Wciąż patrzyłem na Sophię, a ona nie opuściła wzroku; co więcej, gotów byłbym przysiąc, że w kącikach jej ust czaił się uśmieszek. Wydawała się zadowolona z efektu, jaki wywarło jej wyznanie.

– Kogóż to zamordowałaś? – spytałem, gdy już nie mogłem znieść milczenia.

– Mego męża – odparła bez wahania.

– Męża?

Uśmiechnęła się przelotnie. Lecz ten uśmiech nie pojawił się w oczach.

– Tak. Nie wiedziałeś, że znalazłam sobie męża, nieprawdaż? Tylko patrzyłem na nią ze zdumieniem.

– Myślisz, że nie traciłam czasu, mam rację? Ledwie zdążyłam wydać na świat dziecko jednego mężczyzny, a już wyszłam za drugiego?

– Nic takiego nie pomyślałem – odparłem z pewnym skrepowaniem, albowiem w rzeczy samej coś takiego przemknęło mi przez głowę.

– Ciotka sprzedała mnie jak bydło. – Wskazała za okno. – Jak jedno z tych nieszczęsnych beczących zwierząt z zagrody.

– I go zamordowałaś? – Starałem się mówić cicho i w efekcie z moich ust wydobył się stłumiony skrzek.

Sophia przewróciła oczami.

– Nie, Bruno. To nie ja. Uczynił to ktoś inny.

– Kto taki?

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć? Dlatego chciałam cię odnaleźć. – Tym razem nie zdołała zamaskować zniecierpliwienia w głosie.

Pokręciłem głową, by odzyskać jasność myślenia.

– Może lepiej opowiedz mi całą historię od początku.

Skinieniem głowy wyraziła zgodę, a potem opróżniła swój kubek

i pchnęła go w moją stronę. Piwo nie było mocne, lecz pod jego wpływem na jej zapadniętych policzkach wykwitły rumieńce.

– Najpierw muszę się jeszcze napić.

♦ ♦ ♦

– Nie ma sensu rozwodzić się nad tym wszystkim, co stało się przed twym wyjazdem z Oksfordu – zaczęła, gdy przyniesiono nam następny dzbanek ale i gdy zjadła drugi kawałek chleba.

Mruknąłem na potwierdzenie, unikając jej wzroku. Ciekaw byłem, czy pamięta tamten wieczór, kiedy ją pocałowałem, czy też to wspomnienie legło pogrzebane pod tym, co wydarzyło się później. Ja wciąż miałem to świeżo w pamięci, jakby nastąpiło to przed chwilą.

– Jak wiesz, ojciec wyprawił mnie do ciotki w Kent. Matka płakała, gdy wyjeżdżałam, zapowiadała, że rozstajemy się tylko na jakiś czas, dopóki moja hańba się nie skończy, jak to określiła, ale widziałam po twarzy ojca, że biedaczka się łudzi. Był zbyt dumny, aby znieść tę plamę na honorze, zwłaszcza przy jego pozycji w mieście. Nie miałam wątpliwości, że wołałby, abym umarła, niż urodziła mu wnuka z nieprawego łoża.

– Nawet mi to powiedział – przypomniałem sobie.

– Właśnie. Nie łudziłam się więc, kiedy wyruszałam do Kentu w towarzystwie jednej ze służących ojca. Rodzina się mnie wyrzekła i nie miałam pojęcia, jaka czeka mnie przyszłość. Podróż była ciężka, trwała kilka dni, a ja już cztery miesiące nosiłam dziecko w łonie. Chorowałam przez całą drogę i bałam się, że... – Opuściła wzrok, nagle zawstydzona. – Tak niewiele wiedziałam o tych sprawach. Bałam się, że trudy podróży spowodują przedwczesny poród. Głupie z mojej strony. – Pokręciła głową.

– Ależ nie – odparłem. – To byłoby nienaturalne, gdyby kobieta nie bała się o swe nienarodzone dziecko.

– Okazuje się jednakże, że te istoty są bardziej wytrzymałe, niż można by sądzić – ciągnęła, pozwalając sobie na lekki uśmiech. – Tak czy owak, bezpiecznie zawieziono mnie do ciotki... starszej

siostry mego ojca, możesz więc sobie wyobrazić, że bardzo przejęła się zniwagą, jakiej doznała rodzina. Była wdową, żyjącą skromnie, lecz wygodnie, i dbała, abym odżywiała się należycie i miała schronienie do czasu połogu. Lecz niebezinteresownie. Zajęła się bowiem moją nieśmiertelną duszą. — Skrzywiła się i urwała na chwilę, aby znowu napić się piwa. — Nie miałam dostępu do żadnych ksiązek z wyjątkiem Biblii i książeczki do nabożeństwa. Oczywiście nie wolno mi było wychodzić z domu. Ciotka rozgłosiła wśród sąsiadów, że jestem chora, najpewniej umrę, więc opiekuje się mną w tych ostatnich miesiącach. Nie wiem, czy jej uwierzyli, czy nie, jednakże zamykano mnie w pokoju za każdym razem, gdy miała gości.

— Mimo wysiłków ciotki nie obudziły się w tobie żadne uczucia religijne?

Prychnęła i odrzuciła głowę w sposób, który przypomniał mi ją z dawnych czasów, kiedy jej włosy były długie i mogła nimi potrząsać.

— Powiedziałaś ci, Bruno... skończyłam z religią, wszelką religią. Jeżeli Bóg istnieje, na pewno patrzy z rozpaczą na swych przedstawicieli, bez przerwy toczących spory o drobnostki. Jeśli o mnie chodzi, mogę się bez niej obejść.

— Czyli jesteś heretyczką — zauważyłem, powściągnąjąc uśmiech.

Wzruszyła ramionami.

— Skoro tak twierdzisz. Tobie to chyba nie zaszkodziło.

— Och, Sophio. O, przepraszam, Kit. Jak możesz tak mówić? Nie bierz ze mnie przykładu. Nie mogę wrócić w rodzinne strony, gdyż uchodzę tam za heretyka.

— Podobnie jak ja — stwierdziła. — Jedziemy na tym samym wózku, Bruno. Oboje jesteśmy teraz pariasami.

Kusiło mnie, aby wyliczyć szczegółowo wszystkie różnice między jej położeniem a moim, lecz pragnąłem usłyszeć dalszy ciąg opowiadanej przez nią historii.

— Więc ciotka postanowiła wzbudzić w tobie skruczę...?